

Wykład Sangharakszity w Ośrodku Buddyjskim w Sheffield na temat m.in. na temat ponownych narodzin (rebirth) i snów 8 lipca 2008

Tego wieczoru jadłem obiad z ekipą sklepu sieci *Evolution* w Sheffield i opowiadali mi oni nie bez dumy, że są jednym z pięciu pozostałych zespołów w Triratnie całkowicie zarządzanych przez członków sanghi. Wysłuchałem tego z niezwykłą przyjemnością, ponieważ właściwy sposób zarobkowania oparty na wspólnocie zawsze był bliski mojemu sercu i niezwykle ucieszyła mnie wiadomość, że tutaj, w Sheffield rozkwita wraz z innymi działaniami Triratny.

Podczas rozmowy w czasie obiadu w jakiś sposób pojawił się temat południowego Londynu, skąd jak wiadomo ja pochodzę. Wychowałem się w [dzielnicy] Tooting. Wielu ludzi śmieje się, kiedy słyszą słowo Tooting, zupełnie nie wiem dlaczego. Ale jakby nie było, wychowałem się w tej okolicy. Właściwie, urodziłem się nie tyle w Tooting, co w Stockwell, które jest nawet gorszym miejscem. Kiedy patrzę wstecz, nadzwyczajnym wydaje mi się fakt, że ktoś, kto poświęcił swoje życie dharmie i przypieczętował je założeniem nowej buddyjskiej tradycji, miał przyjść na świat akurat w południowym Londynie. Wychowałem się w Tooting w robotniczej rodzinie, jakich wiele. Mój ojciec był po prostu pozostającym czasami bez pracy lakiernikiem a moja matka zwykłą gospodynią domową. Dlatego też, wydaje się dziwne, że ktoś taki jak ja wyłonił się z tego typu otoczenia.

Od samego początku moje życie, cała moja siła życiowa była bardzo wyraźnie ukierunkowana. Pamiętam, że po raz pierwszy usłyszałem coś o Buddzie, Siddharcie Gautamie, w wieku ośmiu czy dziewięciu lat, będąc w tym czasie przykutym do łóżka. Dowiedziałem się o nim z encyklopedii. Poznałem wówczas również innych nauczycieli religii. Nauczyłem się o Mahomecie, o Zaratustrze w ten sam sposób jak o Buddzie. Mahomet nie przemówił do mnie szczególnie, nie przypuszczam, żeby nawet Zaratustra, lecz Budda, zadziałał na mnie w nadzwyczajny sposób. Zdjęcia Buddy, czy też raczej obrazki z mojej encyklopedii zapadły mi w pamięć. Tak się złożyło, że kilka lat później, byłem na wakacjach z rodziną w Brighton. W oknie małego sklepiku z różnościami rzucił mi się w oczy niewielki mosiężny posążek Buddy. Była to zapewne malutka replika sławnego japońskiego Buddy z Kamakury. Wstąpiłem do sklepu i zakupiłem ją z mojego kieszonkowego. Miałem wtedy ze dwanaście, trzynaście lat. Kupiłem nie tylko tę ikonkę, lecz jednocześnie kilka laseczek kadzideł – o których później dowiedziałem się, że są indyjskimi kadzidłami – bardzo czarnych i bardzo słodkich. Później w domu, jak pamiętam, kładłem ten

posążek na stole i paliłem przed nim jedno z moich drogocennych kadzideł. Czyniłem to bez jakiegos gębszego zrozumienia. Moi rodzice na pewno się zorientowali, lecz nie poczynili żadnych komentarzy. Przywykli do moich dziwnych zainteresowań i dziwnych pomysłów, tak więc nie odezwali się ani słowem.

W ciągu następnych paru lat zanurzyłem się po uszy w literaturze oraz w filozofii, i pod wpływem lektury uświadomiłem sobie, że nie jestem chrześcijaninem. Wcześniej uczęszczałem przez jakiś czas do chrześcijańskiego kościoła, lecz nie wywarło to na mnie większego wrażenia. Tak więc, miałem najwyżej około czternastu, piętnastu lat, kiedy uzmysłowiłem sobie: „Bezsprzecznie nie jestem chrześcijaninem!”. Stało się to dla mnie całkiem oczywiste. Kim jestem – tego nie wiedziałem. Jeszcze nie. Nadszedł jednak w mojej lekturze taki moment, kiedy natknąłem się na książki o buddyzmie, co więcej, natrafiłem na prawdziwe buddyjskie teksty czy raczej tłumaczenia buddyjskich tekstów. W szczególności spotkałem się z tłumaczeniem Diamentowej Sutry i Sutry Wei Langa czy też „Sutry Szóstego Patriarchy”, jak się ją zwykle nazywa – i kiedy czytałem je, zwłaszcza Sutrę Diamentową, natychmiast poczułem, że „To jest to, w co naprawdę wierzę. To, w co wierzyłem przez cały czas. Zawsze wierzyłem w naukę tej sutry.” Stanowiło to moje prawdziwe doświadczenie, autentyczne urzeczywistnienie w tym czasie.

Nie miałem jeszcze wówczas styczności z innymi buddystami. Byłem sam jak palec. Nie przypuszczam, bym rozmawiał o swoich ówczesnych lekturach czy swoim zainteresowaniu buddyzmem z kimkolwiek, kogo znałem. Wreszcie dowiedziałem się o *London Buddhist Society* i zacząłem korespondować z wydawcą ich magazynu i uczęszczać na zajęcia, jakoś na przełomie 1941 i 1942 roku. Zaprzyjaźniłem się tam z wieloma osobami i podjąłem coś w rodzaju medytacji. Nie jestem w stanie przypomnieć sobie, jaki rodzaj medytacji praktykowaliśmy, lecz pamiętam, że *Buddhist Society* opublikowało książkę zatytułowaną „Koncentracja i medytacja”, którą zapewne przeczytałem. Pamiętam także, że pan Humphreys, założyciel *Buddhist Society*, miał w zwyczaju zalecać. byśmy zaczęli od uczenia się koncentrowania na pudełku zapalek – co oczywiście, niektórzy z nas przykładowie wykonywali. Rzecz jasna, wojna była wtedy w pełnym toku a ja wciąż mieszkalem w Londynie, więc byłem świadkiem jednej z fazy nalotów. Pamiętam, że któregoś razu znajdowałem się w budynku *Buddhist Society*, który mieścił się nad sklepem z herbatą na Great Russel Street. Siedzieliśmy zwyczajnie na krzesłach, oczywiście że nie na poduszkach – nikt wtedy nie siedział na poduszkach. Siedzieliśmy więc jak jeden mąż na krzesłach i medytowaliśmy – a przynajmniej mieliśmy zamknięte oczy, z uwagą skierowaną do środka – na wyobrażeniu pudełka zapalek, czy na czymś innym. Tak czy inaczej, byliśmy wyciszeni. Nagle rozległ się odgłos potężnej eksplozji. W pobliżu spadła bomba i zadrżały szyby, ale nikt się nie poruszył. Całkiem

nieźle jak na początkujących!, .

Następnie przysłała armia. Powołano mnie i wysłano do Indii. Pobyt w armii był zupełnie nie po mojej myśli. Nie przypuszczałem, że będą chcieli mnie wcielić, biorąc pod uwagę moje uprzednie problemy ze zdrowiem. Prawdopodobnie wzięli mnie z desperacji, bo już nie było kogo. Armia całkowicie mi nie odpowiadała i ignorowałem ją jak tylko mogłem, realizując swoje zainteresowania najlepiej jak potrafiłem. Oczywiście, jeśli tylko miałem okazję, czytałem dalej książki o buddyzmie. Cieszyłem się z wysłania mnie do Indii, ponieważ był to kraj Buddy. Wielu moich przyjaciół z jednostki przeraziło się, kiedy usłyszeli, że mamy być wysłani do Indii. Indie, to musiało im zabrzmieć jak wyprawa na koniec świata, tak daleko od ich rodzin. Wcale nie byli szczęśliwi, ale dla mnie to było w to mi graj. Nie cieszyłem się z rozłąki z rodziną, tylko z perspektywy, że trafię do Indii, ziemi Buddy. Wtedy w Indiach żyło niewielu buddystów. Garstka wręcz. Prawie w ogóle. Niełatwo było w ciągu tych lat spotkać buddystę, tak więc kontynuowałem swoje studia buddyjskie czytając książki. Przez rok przebywałem w Singapurze, będąc wciąż w armii i w Singapurze zawiązałem przyjaźnie z wieloma chińskimi buddystami, w ten sposób dowiadując się czegoś o chińskim buddyzmie w tym okresie.

Następnie, po czterech latach w armii, porzuciłem ją i, jak niektórzy z was wiedzą (ci którzy czytali moje wspomnienia) – podjąłem wędrowne życie w Indiach, ale nie jako turysta. Że tak się wyrażę, zrobiłem to jak należy: zostałem wędrującym, wolnym ascetą, ogoliłem głowę, zgoiłem brodę, jaką zapuściłem w tym czasie i przywdziałem szafranowe szaty wędrującego mnicha. W ten sposób w towarzystwie przyjaciela Bengalczyka, spędziłem parę lat włóczęgając się po Indiach, czasami zatrzymując się w aśramach, a czasami po jaskiniach, poświęcając się medytacji i studiowaniu Dharmy.

Poznałem wielu, wielu wyznawców hinduizmu. Oczywiście, hinduiści byli wszędzie. Większość ludzi, z którymi miałem kontakt było hinduistami. Poznałem i spędziłem czas z paroma sławnymi nauczycielami. Chociaż z niektórymi z nich zadzierzgnąłem bliższe relacje, moja wiara w Dharmę nigdy nie została zachwiana. Zawsze było dla mnie całkowicie jasne, że to Dharmie chcę poświęcić życie. W czasie, kiedy przebywałem w jaskini na górze Arunaćala, nastąpił swego rodzaju punkt zwrotny: którejś nocy miałem wizję (opisaną w moich wspomnieniach), wizję czerwonego Buddy, Amitabhy. Stanowiła ona dość niezwykły obraz, jak uznałem w tamtym czasie, ponieważ ten czerwony Budda usadowiony był na czerwonym lotosie, unoszącym się na wodach oceanu i trzymał w swojej prawej dłoni czerwony lotos, zaś za nim, z jednej strony zachodziło słońce, którego promienie iskrzyły się na falach. Odebrałem to niezwykle żywe doświadczenie jako

oznakę, że przyszedł czas, by przyjąć formalne wyświęcenie na mnicha. Sądziłem, że postać Buddy z mojej wizji nie była specjalnie tradycyjna. Nigdy wcześniej nie widziałem wizerunku czerwonego Buddy dzierżącego czerwony lotos, a zatem przez wiele lat uważałem, że nie było to coś zupełnie tradycyjnego. Jednak jakiś czas temu ktoś wysłał mi pocztówkę z Nepalu. Zdjęcie było fragmentem thangka i widniał na nim czerwony Budda z czerwonym lotosem w ręku, trzymany przed sobą w górze dokładnie tak, jak w mojej wizji. Zorientowałem się więc, że moja wizja była bardziej tradycyjna niż mi się dotychczas zdawało. Co więcej, inny przyjaciel z Triratny powiedział mi, że kiedy odwiedził Kalimpong i poszedł zobaczyć świątynię zbudowaną przez Dudjoma Rinpoce, ujrzał pośród murali malowidło na ścianie – ponownie tę samą postać czerwonego Buddy trzymającego kwiat czerwonego lotosu. Wychodzi na to, że moja wizja nie była aż tak nietypowa jak początkowo myślałem.

Zgodnie z tym co powiedziałem, przyjąłem ją jako sygnał, że nadszedł czas, by we właściwy sposób otrzymać ordynację i dołączyć do klasztornej sanghi. Zostałem ordynwany jako śramanera w Kuśinarze i następnie jako bhikszu w Sarnath. Byłem, że się tak wyrażę, na właściwym tropie. Następnie spędziłem pewien czas z bhikszu Kaśjapą, studiując Pali. Zabrał mnie do Kalimpong, a następnie zostawił namawiając, bym się tam zatrzymał i pracował dla dobra buddyźmu. Zabrałem się do tego między innymi poprzez otworzenie *Young Men`s Buddhist Association*, które to można uznać za rodzaj próby generalnej przed stworzeniem Triratny. W kolejnych latach kontynuowałem buddyjskie studia, kontynuowałem praktykę medytacji oraz Dharmy, i miałem to niezwykle szczęście, że otrzymałem instrukcje i inicjacje od znakomitych tybetańskich lamów, jak również od pewnego chińskiego pustelnika i jogina. I tak upłynęło mi czternaście płodnych lat w Kalimpongu. Całkiem sporo w tym czasie napisałem, włączając w to *Wprowadzenie do buddyźmu*, oraz włączyłem się także w ruch masowych konwersji zapoczątkowany przez dr Ambedkara na równinach Indii. Odnalazłem więc zdecydowanie w swoim życiu moc???*.*.

Po dwudziestu latach nieobecności, w 1964 roku wróciłem do Anglii i trzy lata później zapoczątkowałem Społeczność i Wspólnotę Buddyjską Triratna. A reszta to już historia, jak to się mówi, historia, której wy wszyscy stanowicie teraz część. Tym samym, patrząc wstecz z perspektywy starego człowieka, dobiegającego prawie osiemdziesięciu trzech lat, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że musiała istnieć jakaś przyczyna, dla której podążałem tą szczególną ścieżką bez większych odstępstw. Nawet armia nie zdołała mnie powstrzymać od studiowania buddyźmu, nie zauroczył mnie też żaden z tych sławnych hinduskich nauczycieli. Przywarłem do Dharmy. Dharma była moją ścieżką. To w Dharmie chciałem się zanurzyć, to Dharmy chciałem

doświadczyć, to Dharma chciałem przekazywać. To było dla mnie zawsze jasne jak słońce.

Czasami się więc zastanawiam, jakie jest źródło owego potężnego pragnienia. To pragnienie, które odgrywało dominującą rolę w moim życiu przez sześćdziesiąt lat. Patrzę wstecz i myślę o tym otoczeniu, w którym się urodziłem. Najzwyklejsze warunki klasy robotniczej, i to żyjącej w Tooting. W takim razie, co było tam takiego, co mogłoby wyjaśnić moje zainteresowania? Mogę tylko przypuszczać, że najprawdopodobniej była to jakaś silna *samskara* przeniesiona z poprzedniej egzystencji, która skłoniła mnie do podążania ścieżką, jaką zmierzałem już wcześniej i ponownie mnie połączyła z naukami, praktykami i doświadczeniami, które były moim udziałem w minionych egzystencjach. Tym samym, zawsze był to dla mnie jeden ze względów, który wiódł mnie do zaakceptowania idei odrodzenia. Otóż świadomie użyłem słowa względ, ponieważ nie stanowi on dowodu. Wielu ludzi mogłoby powiedzieć, że całkowicie się mylę i że moje zainteresowanie buddyzmem i oddanie się Dharmie, dałoby się wytłumaczyć jakimś genem w mojej naturze, lecz ja widzę to zupełnie inaczej. Według mnie, to naprawdę przedstawia się tak, jakbym podążał ścieżką w tym życiu, którą wydeptałem w poprzednich żywotach, zatem jest to jeden z czynników, na skutek którego wierzę w fakt ponownych narodzin. Oczywiście, są także i inne względy. Jak powiedziałem, to nie jest jedyny i podkreślam, że moje wrażenie, czy przeświadczenie o tym, że musiałem wędrować tą ścieżką wcześniej, w żaden sposób nie stanowi dowodu, tym bardziej naukowego dowodu, który mógłby przekonać tych, co nie uwierzyli w fakt czy ideę ponownych narodzin.

Chciałbym teraz powiedzieć parę słów na temat snów. Właściwie nie zamierzałem mówić tutaj o snach, ale uczynię to. Tak czy inaczej ludzie często interesują się snami. Zgodnie z niektórymi buddyjskimi tekstami, wygląda na to, że Siddhartha śnił kilka znaczących snów zanim osiągnął Oświecenie. Napisałem nawet wiersz o jednym z nich, mogliście się na niego natknąć. Sny stanowią oczywiście całkiem ważną część naszego życia. W Indiach istnieje tradycyjny podział ludzkiej psychiki na cztery elementy. Wyróżnia się stan czuwania, stan głębokiego, pozbawionego marzeń sennych snu, stan snu z marzeniami i stan, który zawiera wszystkie wyższe medytacyjne doznania. Sny kreują część naszego doświadczenia, niemal część naszej osobowości.

Wiele ze snów to oczywiście tylko odbicia, cienie rzucane przez to, co wydarzyło się nam w ciągu dnia. Osobiście jestem przekonany, że istnieją także sny zupełnie innego rodzaju. Wiele razy śniłem tego innego rodzaju sny i przypuszczam, że niektórzy z Was również je przeżywali. Nazywam je archetypowymi snami: snami, które nie odzwierciedlają wyłącznie zdarzeń w ciągu dnia, lecz które posiadają wyższe, czy głębsze znaczenie. Podczas mojego życia doświadczałem od

czasu do czasu tego rodzaju archetypowe sny.

Szczególnie pamiętam jeden z takich archetypowych snów, który wielokrotnie powtarzał się w różnych formach w ciągu kolejnych lat. Pamiętam pierwszy raz kiedy mi się przyśnił. Przybrał on tę szczególną formę. W tym śnie pojawiała się góra i miało to miejsce na południu Indii. (Miałem ten sen swoją drogą w Indiach, zanim wróciłem do Anglii.) U podnóża tej góry mieścił się otwarty dla wszystkich aśram, do którego wchodzili i z którego wychodzili ludzie. Za aśramem znajdowały się schody wykute w skale, rodzaj tajemnego przejścia, które wiodło w górę, do następnego aśramu, położonego znacznie wyżej i znacznie mniejszego, o którym ludzie z reguły nic nie wiedzieli. Schody prowadziły na szerokie podwyższenie. We śnie wspiąłem się tymi schodami i znalazłem się na wzniesieniu rozglądając się po krajobrazie.

Był to bardzo rozległy pejzaż oznaczony tu i ówdzie kropkami fabryk. Na szczycie schodów znajdował się człowiek, starszy mężczyzna w białej szacie, za którym widniał rodzaj gabloty, jaką można ujrzeć w świątyniach tybetańskich, pełną wizerunków Buddy za szkłem. To więc było to wyobrażenie, to był ten sen, ten archetypowy sen. Otwarty aśram znajdował się u podnóża góry, a ukryty aśram, o którym wiedziało tylko niewielu, sytuował się na szczycie schodów, ponad aśramem otwartym dla publiczności i dobrze znanym. Mały aśram był odległy, ukryty, niepoznany czy też niekiedy nawet w ruinie i w niektórych snach ludzie zapomnieli o jego istnieniu.

Wiele rozmyślałem nad tym snem i zadawałem sobie pytanie, na co mógł wskazywać. Nie zdradzę wam, do czego doszedłem wskutek tych rozważań. Różnią się one od czasu do czasu. Być może sami zechcecie zastanowić się nad tym snem i zadać sobie pytanie, czy mieliście kiedyś jakieś podobne doświadczenie. Właśnie coś takiego rozumiem jako archetypowy sen, który prawdopodobnie posiada głębokie znaczenie.

Przeskoczę teraz do okresu pięciu, sześciu lat temu. Niektórzy z was wiedzą, że pięć czy sześć lat temu cierpiałem przez cały rok na chroniczną bezsenność, której powód pozostał nieznanym. To było coś skrajnego i bardzo poważnego, równoznacznego z deprywacją snu. Okres ten był dla mnie bardzo bolesny, stanowił niezwykle bolesne doświadczenie. Jako, że nie byłem w stanie spać, albo tylko niewiele, energia ze mnie wyciekała i spodziewałem się, że mogę nawet umrzeć. Miałem tak mało energii, czułem się krańcowo wyczerpany i moi przyjaciele poważnie się o mnie martwili. Miałem jednak w tym czasie bardzo dobrą opiekę i akupunktura także zrobiła swoje. W każdym razie był to na wskroś bolesny okres i jedyne, co mogłem zrobić, to pozostać uważnym, praktykować cierpliwość i starać się nie poddawać frustracji.

Były też i jasne strony. Mógłbym powiedzieć, że iskierka nadziei tliła się w tej ciemności. W rzeczy samej, mógłbym powiedzieć, że widniało światełko w tunelu, ponieważ w tym czasie śniłem wspaniałe, archetypowe sny, które przedstawiały dla mnie wielkie znaczenie. Czułem się obdarowany, prawdziwie wynagrodzony czymś nad wyraz pozytywnym, mógłbym nawet powiedzieć, szczerze duchowym doświadczeniem. Owe archetypowe sny przyjęły wiele form, jedną z nich stanowiły wszelkie odmiany, pięknych, olśniewających klejnotów. Zawsze byłem miłośnikiem drogocennych czy półszlachetnych kamieni dla ich piękna i różnorodnej barwy. W moich snach widziałem najcenniejsze szlachetne i półszlachetne kamienie, wszystkie niezwykle wspaniałe i wystylizowane w cudowne wzory i kształty. Doświadczenie to było niezmiernie inspirujące. Co więcej, śniłem archetypowe sny rozgrywające się we wspaniałym krajobrazie, często w górskiej scenerii, która prawdopodobnie nawet nie istnieje na ziemi. Bardzo często na skraju morza. Czasami znajdowałem się wysoko w powietrzu spoglądając w dół na morze, patrząc w dół na góry. Czasami przebywałem w podziemnych przepaściach ze wszelkiego rodzaju rozpadlinami. Miałem wiele, wiele takich snów, a z każdego z nich czerpałem inspirację i każdy pomagał mi przetrzymać ten rok ciągłej bezsenności, deprywacji snu. Może zastanawiacie się dlaczego tak rozwlekle opowiadam o tych snach, lecz przejdę do czegoś, co może wydać się wam bardziej interesujące.

Miewałem także sny o moich różnych nauczycielach. Te sny nie pojawiały się zbyt często, śniłem je od czasu do czasu i wciąż mi się one przydarzają. Czasami są naprawdę bardzo sugestywne. W jednym przypadku miałem sny o wszystkich moich nauczycielach. Zdarzyło się to na tydzień przed tym, zanim powierzyłem moje obowiązki jako głowa Wspólnoty niewielkiej grupie jej ordynowanych członków. W ciągu tygodnia bezpośrednio poprzedzającego przekazanie śniłem o moich nauczycielach. Każdej nocy miałem kilka snów o nich i przez tydzień musiałem śnić o każdym z osobna i wszystkich razem po kilka razy. Owe sny były bardzo, bardzo silne i stanowiły rodzaj wizjonerskiego braterstwa. Przyjąłem je jako oznakę tego, że przekazywanie obowiązków dla zgromadzenia było właściwym wyborem i że otrzymało błogosławieństwo ze strony moich wszystkich nauczycieli. Dlatego też, miało to dla mnie ogromne znaczenie, prawdopodobnie także i dla Społeczności Tiratna, a w szczególności dla Wspólnoty ordynowanych.

Pozwólcie mi teraz połączyć to z kwestią ponownych narodzin. Stosunkowo niedawno miałem również sny, które dla mnie przedstawiały się jak wspomnienia doświadczeń z poprzedniego życia. Oczywiście nie jestem teraz w stanie dowieść, że w istocie nimi są, lecz niektóre z tych snów charakteryzowała tak niezwykła siła – nie ta sama moc archetypowa, o której wspominałem w

odniesieniu do archetypowych snów – jest to całkowicie odmienny rodzaj siły, tak jakby były one rzeczywistymi wspomnieniami sytuacji, które zaszły w poprzednich egzystencjach. Na ile byłem w stanie sobie to poukładać po namyśle, żyłem w ósmym czy dziewiątym wieku w tym kraju, w czasie, gdy Anglia była podzielona na siedem czy osiem niezależnych królestw pozostających czasami ze sobą w stanie wojny. Byłem przełożonym niewielkiego klasztoru, wierście czy nie, i przewodziłem dwudziestu czterem mnichom. Któregoś dnia przybył przedstawiciel monarchy rządzącego tym właśnie królestwem, w którym mieszkałem i powiedział: 'Król prowadzi wojnę z sąsiadującym władcą. Potrzebujemy żołnierzy. Musisz wysłać dwunastu ze swoich mnichów, by walczyli jako żołnierze za króla.' Przeto ze smutkiem i bez namysłu musiałem rozstać się z dwunastoma mnichami, wyprawiwszy ich by byli żołnierzami i walczyli za króla. Trochę później w innym śnie (dokładnie nie wiem kiedy), wątek z tego snu został podjęty i znalazłem się w obecności króla wraz z innymi mentorami i doradcami. Król siedział na swoim tronie. Wszyscy staliśmy. Zwracaliśmy się do niego po kolei i przyszła pora na mnie bym do niego przemówił. Tuż po przebudzeniu pamiętałem słowa wypowiedziane do króla, lecz nie trwało to długo i teraz nie jestem w stanie ich sobie przypomnieć. Nnawiazałem w każdym razie w tym, co powiedziałem do króla, do sytuacji politycznej.

Te konkretne sny były szczególnego rodzaju, różniły się od zwykłych snów, nawet od snów archetypowych. Mogę jedynie wnioskować, że prawdopodobnie odzwierciedlały ślady poprzedniego życia. Stanowi to jeszcze jeden ze względów, jakie skłaniają mnie do zaakceptowania idei czy faktu ponownych narodzin. Uważam za całkiem prawdopodobne, że niektóre sny są tak naprawdę wspomnieniami wydarzeń, czy też doświadczeń z poprzednich egzystencji. Jak powiedziałem, będę je określał jako względy, które przekonują mnie do wiary w ponowne narodzenie, lecz nie mogą być traktowane jako dowód.

Istnieją również i inne wskazówki. Nie jestem pewien, czy ktoś z was słyszał o angielskim buddyście imieniem Francis Story? Umarł jakieś parę lat temu. Spędził większość swojego życia na Sri Lance. Był anagariką i szczególnie interesowała go kwestia ponownych narodzin. Chciał się przekonać, czy mogłyby być empirycznie dowiedziona. Wykonał masę badań, głównie w Birmie, gdzie spędził kawał czasu. Rozpatrywał liczne przypadki, w których to dzieci opowiadały o tym, jak mieszkały wcześniej w innym miejscu, z inną rodziną. Zbadał wiele z takich spraw i doszedł do wniosku, że w niektórych sytuacjach, jedynym możliwym wytłumaczeniem było to, że te dzieci pamiętały swoją egzystencję w poprzednim istnieniu, zwykle także w Birmie i niedaleko od miejsca, gdzie, że się tak wyrażę, reinkarnowały się w obecnym życiu. Francis Story po rozpatrzeniu tych przypadków doszedł do przekonania, że istniała możliwość empirycznego

zbadań, wykazania prawdziwości przynajmniej niektórych z tych domniemyanych wspomnień z przeszłych egzystencji. Mamy więc kolejny wzgląd, który należy dodać do wcześniej nadmienionych. Prawdopodobnie posiada on nieco większą wagę niż tamte, które mogłyby się wydać subiektywne.

Pójdźmy jednak krok dalej. Poznałem przynajmniej dwóch ludzi, którzy utrzymują, że pamiętali swoje poprzednie istnienia. Jednym z nich był Lama Gowinda, a kolejnym Dhardo Rinpocze. Dhardo Rinpocze był jak wiadomo tulku. Nie wiem, czy inni tulku mieli jakiegokolwiek wspomnienia ze swoich poprzednich żywotów. Kiedy byłem w Kalimpong, nie byłem specjalnie zainteresowany zagadnieniem ponownych narodzin. A może nie tyle, że nie byłem tym zainteresowany, co nie byłem zainteresowany próbami ustalenia tego jako fakt. Przyjąłem to niejako za oczywistość, tak jak robili inni buddyści. Pamiętam dyskusję z Dhardo Rinpocze, który powiedział mi, że pamiętał swoje poprzednie życie, lecz, że te wspomnienia rozwiały się, gdy miał około siedmiu lat. Wydawał się być przeświadczony, że to bardzo często się zdarza innym. Przed osiągnięciem wieku siedmiu lat, ktoś może jak najbardziej być w stanie przypomnieć sobie przeszłe egzystencje, lecz cóż, obecne życie, które napiera na niego, sprawia, że te dawne wspomnienia są przesłaniane przez nowsze i stopniowo się zacierają. Podobno jego matka pamiętała zdarzenie z jego dzieciństwa (nie miał jeszcze siedmiu czy ośmiu lat), kiedy jedna z wyznawczyń zaprosiła go na posiłek i z jakiegoś powodu odniosła wrażenie, że młody rinpocze niespecjalnie ma ochotę na poczęstunek w jej domu. Powiedziała mu więc o tym, a rinpocze odparł: 'Niby dlaczego miałyby mi się nie chcieć przychodzić do twojego domu na posiłek? Przecież już nie raz u ciebie bywałem.' Jego matka zrozumiała, że odnosił się do swojego poprzedniego życia, kiedy to faktycznie wielokrotnie udawał się na posiłki do domu tej kobiety. Dhardo Rinpocze ze swojej strony potwierdził, że też tak to widział, aczkolwiek, kiedy rozmawialiśmy, nie pamiętał już owego poprzedniego życia, lecz tylko pamiętał to, że wcześniej pamiętał.

Dalej mamy przypadek Lamy Gowindy. Pewnie wiecie, że w książce, „Droga białych obłoków”, Lama Gowinda dosyć obszernie rozważa zagadnienie ponownych narodzin i opisuje pewne przypadki, na jakie natknął się podczas pobytu w Birmie. Podczas rozmowy z nim zdarzyło mi się wzmiankować, że czasem jego teksty (które czytałem będąc nastolatkiem) bardzo przypominały mi pewne dzieła wczesnych niemieckich romantyków. Uśmiechnął się i wyraził przekonanie, że był w poprzednim życiu Novalisem – jednym z tych romantycznych pisarzy i dodał, że raz, gdy czytał Novalisa, wydało mu się to dziwnie znajome i dotarło do niego, że on to napisał.

Tak oto wszystkie te względy przekonały mnie, że ponowne narodziny, reinkarnacja, czy

metempsychoza stanowią fakt, a nie są tylko piękną romantyczną ideą.

Należy też pamiętać, że w wielu buddyjskich tekstach całkiem jasno powiedziane jest, że Budda pamiętał swoje wcześniejsze wcielenia i był w stanie odszukać oraz ujrzeć narodziny, śmierć i odrodzenia innych istot. Współczesnych ludzi nie specjalnie przekonuje powoływanie się na autorytet – nawet autorytet Buddy. Ten czy ów wątpi, że sam Budda rzeczywiście wierzył w ponowne narodziny. Niektórzy czasami twierdzą, że po prostu przyswoił tę doktrynę, ponieważ w jego czasach istniał taki klimat intelektualny, że każdy wierzył w ponowne narodziny, więc także i Budda. W rzeczywistości jednak, jak to wynika jasno z samych buddyjskich pism, szczególnie z tekstów zapisanych w Pali, nie wszyscy w Indiach wierzyli w ponowne narodziny. Byli wśród nich i nihiliści, i materialści – i Budda musiał ich czasami przekonywać. Stąd nie da się utrzymywać, że Budda wierzył czy też nauczał o ponownych narodzinach tylko z tego względu, że była to ideologia powszechna w tym czasie w Indiach.

Oto co poniektóre względy, które mnie osobiście skłoniły do zaakceptowania idei ponownych narodzin. Oczywiście jestem w pełni świadomy, że dla wielu zachodnich buddystów, czy nawet dla niektórych osób w Triratnie wiara w ponowne narodziny jest nieco problematyczna. Na przestrzeni lat nie raz mnie pytano, czy można być buddystą i nie wierzyć w ponowne narodziny. Zwykle odpowiadałem: 'Tak, możesz być buddystą i nie wierzyć w ponowne narodziny, ale jako buddysta przyjmujesz Oświecenie za cel nauk Buddy, więc, jeśli nie wierzysz w ponowne narodziny, jeśli nie wierzysz, że dostaniesz kolejną szansę, powinieneś zrobić wszystko dla Oświecenia właśnie w tym życiu. Powinieneś poświęcić wszystko, porzucić wszystko! To jedyna rzecz, jaką możesz uczynić, która jest zgodna z Twoją wiarą w Buddę jako oświeconego i twoją niewiarą w odrodzenie.' Moja sugestia nie została jednak zbyt dobrze przyjęta!

Właściwie myślę, że niektórzy ludzie faktycznie są w rozterce. Wierzą w nauczanie Buddy do pewnego stopnia i naprawdę chcą robić postępy. Chcą rozwijać się duchowo, lecz nie wierzą w odradzanie się. Oczywiście buddyści na Wschodzie wierzą w ponowne narodziny, a jeśli akceptuje się je, wierzy się także w to, że jeśli nie da się rady osiągnąć najwyższych duchowych poziomów w tym życiu, można kontynuować wędrówkę w następnym. Istnieje niebezpieczeństwo – i to jest rzeczywiste niebezpieczeństwo w wielu buddyjskich krajach, że ludzie będą odkładać rzeczywistą praktykę Dharmy na przyszłe życia. Stanowi to rodzaj ucieczki. Ludziom jest zbyt trudno w tym życiu. W porządku, nie w tym, to w kolejnym, przy bardziej sprzyjających okolicznościach. Wielu buddystów w krajach therawady tak właśnie podchodzi do sprawy. Ich zamierzeniem jest odrodzić się w czasach żyjącego buddy, usłyszeć Dharmę bezpośrednio od niego, wtedy będzie o wiele,

wiele łatwiej osiągnąć Oświecenie. I tak nie przejmują się za bardzo bieżącą praktyką Dharmy, dążą do odrodzenia w czasie, kiedy w pobliżu będzie żył Budda Maitreja. Oczywiście to jest wymigiwanie się. Niemniej jednak, jeśli jako zachodni buddysta nie wierzysz w ponowne narodziny, pojawia się olbrzymie obciążenie czy też napięcie związane z tym, że musisz wszystko zrobić teraz. Bez wątpienia, jeśli byłbyś wystarczająco zmotywowany, mógłbyś tego teraz dokonać. W przypadku tych, którzy nie wierzą w ponowne narodziny, zostają oni skonfrontowani z faktem, iż muszą osiągnąć wszystko teraz w tym życiu, bądź wcale, i to przyczynia się do powstania olbrzymiego napięcia, nawet wielkiego niepokoju i nie przynosi raczej zamierzonego efektu.

Najlepiej jest podążać swoistą drogą środka. Staramy się rozwijać duchowo w tym życiu jak najlepiej potrafimy, ale nie napinając się, nie dokładając sobie ciężaru wmawiając sobie, że teraz albo nigdy, bo inaczej umrzemy nie doścignąwszy celu. Dobrze, abyśmy pamiętali o możliwości ponownych narodzin, ale nie na wzór niektórych buddystów ze Wschodu, czyli przywiązując tak wiele wagi do tej idei oraz przyszłych możliwości podążania ścieżką do Oświecenia, że zapomnimy czy też zaniedbamy dokonanie tego w tym życiu.

Podzieliłem się oto z wami tym, co mi dawało do myślenia ostatnimi czasy. Moim zdaniem każdy z nas w Społeczności Triratna, a szczególnie we Wspólnocie Triratna, powinien zapytać siebie: 'Czy przyjmuję koncepcję ponownych narodzin czy nie?' Uważam, że powinniśmy wyrobić sobie co do tego jasne zdanie. A przynajmniej **spróbujmy** sobie wyrobić zdanie, ponieważ uzyskanie pełnej jasności w tej kwestii nie jest niczym łatwym. Jesteśmy to winni sobie czy nawet Dharmie, by zapytać samych siebie, co naprawdę myślimy, w co naprawdę wierzymy. Wywrze to wpływ na naszą obecną praktykę Dharmy.

Najlepiej będzie może, jeśli zakończę właśnie tym apelem- – zwracajmy więcej uwagi na to zagadnienie i może częściej je poruszajmy.

(tł.) Maksymilian Woch, red. Nityabandhu